



JOSEPH CONRAD
IL CONDE

Joseph Conrad

Il Conde

Opowieść żałosna



Przełożył Lech Piwiński

Vedi Napoli e poi mori
(Zobacz Neapol, a potem umrzyj)

Po raz pierwszy zaczęliśmy ze sobą rozmawiać w Muzeum Narodowym w Neapolu, w parterowych salach zawierających przesławną kolekcję brązów z Herkulanum i Pompei: ów cudowny legat sztuki starożytnej, którego subtelna doskonałość została dla nas zachowana dzięki katastrofalnej furii wulkanu.

Zwrócił się do mnie pierwszy i powiedział kilka zdań o słynnym Hermesie spoczywającym, którego właśnie oglądaliśmy ze wszystkich stron. Mówił bardzo dorzecznie o tym naprawdę zachwycającym arcydziele. Nic zresztą głębokiego. Jego dobry smak był raczej wrodzony niż nabyty przez wykształcenie. Najwidoczniej oglądał w ciągu swego życia wiele rzeczy pięknych i umiał je cenić; obcy mu był jednak żargon amatora czy konesera – owej klasy ludzkiej, zaiste, godnej nienawiści. Mówił jak człowiek światowy, istotnie inteligentny i prawdziwie po wielkopańsku naturalny.

Od kilku dni znaleźmy się z widzenia. Mieszkając w tym samym hotelu – pierwszorzędnym, lecz nie krzycząco modnym – zauważyłem go niejednokrotnie w przedsionku hotelowym, jak wchodził lub wychodził. Widziałem, że jest tu dawnym i cenionym gościem. W uszanowaniu, z jakim kłaniał mu się właściciel, wyczuwało się serdeczność, która znów, z jego strony, była przyjmowana z niewymuszoną uprzejmością. Służba nazywała go Il Conte. Byłem właśnie świadkiem sprzeczki o parasol męski – przedmiot z żółtego jedwabiu z

białą podszewką – pozostawiony za drzwiami sali jadalnej i znaleziony przez lokai. Nasz wygalonowany złotem odźwierny poznał ów parasol i natychmiast kazał jednemu z chłopców od windy zanieść go do II Conte. Może to był jedyny hrabia mieszkający w tym hotelu, a może nadano mu tutaj tytuł hrabiego par excellence z racji wypróbowanej jego wierności dla zakładu.

Ponieważ rozmawiałem z nim w Museo (gdzie mimochodem przyznał mi się, iż nie lubi popiersi i posągów rzymskich cesarzy w galerii rzeźb marmurowych: ich twarze są dla niego nazbyt krzepkie i nazbyt grubo wyraziste), ponieważ zatem rozmawiałem już z nim rano, sądziłem, że wieczorem zastawszy salę jadalną przepełnioną nie będę chyba natrętem, jeżeli zechcę przysiąść się do jego stolika. Wnosząc z łagodnej uprzejmości jego zezwolenia, musiał i on być tegoż zdania. Jego uśmiech był naprawdę zapraszający.

Hrabia ubrany był do obiadu w wyciętą kamizelkę, „smoking” (jak sam to nazywał) i czarny krawat. Wszystko doskonale skrojone, nie nowe – takie właśnie, jak powinny te rzeczy być. W ogóle jego strój, ranny czy wieczorowy, zawsze był zupełnie bez zarzutu. Nie wątpię również, że i cała jego egzystencja była bez zarzutu, doskonale uporządkowana i konwencjonalna, niezmacona przez żadne zatrważające wypadki. Białe włosy, zaczesane do góry ponad wyniosłym czołem, nadawały mu wygląd idealisty i marzyciela. Białe wąsy, obwisłe, lecz starannie utrzymywane i podstrzyżone, wcale przyjemnie złociły się pośrodku. Nikła woń jakichś doskonałych perfum i bardzo dobrych cygar (z tym ostatnim zapachem nie łatwo spotkać się we Włoszech) doleciała mnie spoza stołu. Wiek hrabiego najwyraźniej uwydatniał się w oczach. Oczy te były trochę znużone, a powieki pełne zmarszczek. Musiał mieć lat sześćdziesiąt lub nieco więcej. I

był bardzo rozmowny. Bynajmniej nie chciałbym powiedzieć, że był gadatliwy, nie – był, ściśle mówiąc, rozmowny.

Opowiedział mi, że próbował wszelkich klimatów: bywał w Abbazji, na Riwierze i w wielu innych miejscach; lecz jedynym klimatem, który mu naprawdę służył, był klimat Zatoki Neapolitańskiej. Wykazywał mi, że starożytni Rzymianie, ludzie – jego zdaniem – doświadczeni w sztuce życia, doskonale wiedzieli, co robią, kiedy budowali swe wille na tych wybrzeżach, w Baiae, w Vico, na Capri. W poszukiwaniu zdrowia przychodzili na ten brzeg morski i dla uprzyjemnienia wyczasów ciągnęli za sobą całe obozy swoich mimów i fletnistek. Wydawało mu się rzeczą wysoce prawdopodobną, iż Rzymianie z wysokich sfer społecznych byli specjalnie skłonni do zapadania na męczące choroby reumatyczne.

To był jedyny pogląd osobisty, jaki od niego usłyszałem. Pogląd ten nie był ugruntowany na specjalnej erudycji. O Rzymianach hrabia wiedział nie więcej, niż może wiedzieć średnio wykształcony wielkoświatowiec. Argumenty swoje czerpał z doświadczenia osobistego. Sam cierpiał z powodu męczącego i niebezpiecznego reumatyzmu, dopóki nie znalazł ulgi w tym osobliwym zakątku Europy południowej.

Stało się to przed trzema laty; od tego czasu stale mieszka na wybrzeżach zatoki, czy to w jednym z hotelów w Sorrento, czy też w wynajętej niewielkiej willi na Capri. Ma fortepian, trochę książek; trochę znajomości przelotnych; trwających dzień, tydzień, miesiąc, wybranych spośród fali podróżników z całej Europy. Można go sobie wyobrazić wychodzącego na przechadzkę po ulicach i zaułkach, znanego dobrze żebrakom, sklepikarzom, dzieciom i wieśniakom; rozmawiającego uprzejmie za miastem z *contadini* [wł. - „wieśniacy”] i wracającego do hotelu lub willi, aby zasiąść do fortepianu, z białą wypielegnowaną głową i gęstymi statecznymi wąsami –

i „pograć trochę dla siebie”. A dla odmiany był tuż pod ręką cały Neapol – życie, ruch, podniecenie, opera. Trochę rozrywki, mówił, jest niezbędnie potrzebne dla zdrowia. Mimy i fletnistki – tak. Jediną różnicą, która zachodziła pomiędzy nim a magnatami starożytnego Rzymu, było to, że nie miał w stolicy żadnych interesów, zdolnych odciągać go od tych umiarkowanych rozkoszy. W ogóle nie miał żadnych interesów. Prawdopodobnie nigdy w ciągu swego życia nie był zmuszony do zajmowania się poważnymi interesami. Był to żywot miły, z radościami i smutkami regulowanymi naturalnym biegiem rzeczy – przez małżeństwa, narodziny, zgony – rządzonymi przez uznane przepisy dobrego towarzystwa i ochranianymi przez państwo.

Hrabia był wdowcem. W lipcu i sierpniu musiał jednak corocznie odważać się na przekroczenie Alp dla złożenia sześciotygodniowej wizyty zamecznej swej córce. Wymienił mi jej nazwisko. Należało do bardzo arystokratycznej rodziny. Córka posiadała zamek – zdaje się – w Czechach. Poza tym nigdy w bliższy sposób nie udało mi się ustalić narodowości hrabiego. Własnego nazwiska, rzecz dosyć dziwna, nie wymienił ani razu. Być może, sądził, że widziałem je w spisie gości. Prawdę powiedziawszy, nigdy tego spisu nie glądałem. W każdym razie hrabia był doskonałym Europejczykiem – mówił, co wiem na pewno, czterema językami – i był człowiekiem bogatym. Nie było to, oczywiście, wielkie bogactwo. Wyobrażam sobie, że posiadanie olbrzymiej fortuny wydałoby mu się czymś niewłaściwym, *outré* [fr. – „przesadne”] – czymś nazbyt krzykliwym. I najwidoczniej również majątek jego nie był jego dziełem. Majątku nie można zdobyć bez pewnej gruboskórności. Jest to kwestia temperamentu. Jego natura była nazbyt łagodna dla współzawodnictwa. Podczas rozmowy, zupełnie mimochodem, opowiadając o męczącym go i trwożącym

reumatyzmie, wspomniał o swoich dobrach. Jednego roku, pozostawszy nieostrożnie poza Alpami aż do połowy września, musiał się na trzy miesiące położyć do łóżka w odludnym dworze wiejskim, gdzie oprócz lokaja i pary pielęgniarzy nikt się nim nie opiekował. Stało się tak dlatego, że – jak się wyraził – „nie prowadził tam domu”. Zajechał jedynie na parę dni, aby rozmówić się ze swoim rządcą. Obiecał sobie, że nigdy w przyszłości nie będzie tak nierozsądny. Pierwsze tygodnie września muszą go zastać już na wybrzeżach ulubionej zatoki.

Gdy się podróżuje, niejednokrotnie można spotkać takich samotnych ludzi, których jedynym zajęciem jest wyczekiwanie rzeczy nieuchronnych. Zgony i małżeństwa wytworzyły wokół nich samotność i, ostatecznie, trudno ganić ich za to, że zabiegają, aby to swoje wyczekiwanie urządzić sobie możliwie najwygodniej. Hrabia powiedział właśnie do mnie:

– W moim wieku uwolnienie się od fizycznych cierpień jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

Nie należy sobie wyobrażać, że hrabia był uciążliwym hipochondrykiem. Naprawdę był zanadto dobrze wychowany, aby stać się dla kogoś ciężarem. Doskonale widział wszelkie ludzkie słabostki. Ale było to widzenie dobrotliwe. Był spokojnym, łatwym, miłym towarzyszem w godzinach pomiędzy obiadem a udaniem się na spoczynek. Spędziliśmy razem trzy wieczory, gdy nagle musiałem w pośpiechu opuścić Neapol, aby odwiedzić przyjaciela, który poważnie zachorował w Taorminie. Nie mając nic do roboty, Il Conte przyszedł na stację, żeby towarzyszyć mi aż do odjazdu. Byłem cokolwiek rozbity, a hrabia zawsze umiał nadać swojemu próżnowaniu formę nader miłą. W żadnym razie nie był to człowiek leniwy lub gnuśny.

Szedł wzdłuż pociągu wypatrując w wagonach wygodnego miejsca dla mnie, a potem pozostał na peronie i rozmawiał ze mną pogodnie. Wyznał mi, że tego wieczora będzie mu bardzo brakowało mojego towarzystwa, i oświadczył, że ma zamiar po obiedzie pójść posłuchać orkiestry w ogrodzie publicznym, w Villa Nazionale. Zabawi się słuchając doskonałej muzyki i patrząc na najlepsze towarzystwo. Będzie tam, jak zwykle, tłum ludzi.

Zdaje mi się, że go jeszcze widzę – podniesioną twarz z przyjaznym uśmiechem pod gęstymi węsami i miłe, zmęczone oczy. Kiedy pociąg ruszał, hrabia zwrócił się do mnie w dwóch językach: naprzód po francusku, mówiąc:

– *Bon voyage!* [fr. – „Szczęśliwej podróży”] – a później po angielsku, doskonałą, cokolwiek zanadto dobitną angielszczyzną, starał się dodać mi odwagi widząc moje zmartwienie:

– Wszystko – będzie – jeszcze – dobrze.

Choroba mojego przyjaciela wzięła obrót zdecydowanie pomyślny i na dziesiąty dzień wróciłem do Neapolu. Nie mogę powiedzieć, abym w czasie mej nieobecności wiele rozmyślał o II Conte, jednakowoż wchodząc do sali jadalnej szukałem go wzrokiem na zwykłym miejscu. Przyszło mi na myśl, że hrabia mógł wrócić do Sorrento, do fortepianu, do książek i do rybołówstwa. Żył w wielkiej przyjaźni z wszystkimi rybakami i często z ich łodzi łowił ryby na wędka. Lecząc w tłumie głów odróżniłem białą głowę hrabiego i nawet z odległości zauważyłem coś niezwykłego w jego wyglądzie. Zamiast siedzieć prosto i patrzeć dokoła z wyrazem ożywionej uprzejmości, hrabia chylił się bezwładnie nad talerzem. Przez pewien czas stałem naprzeciwko niego, zanim na małe spojrzał, cokolwiek dziko, jeżeli można użyć takiego silnego wyrażenia w związku z jego postacią, jak zwykle bez zarzutu.

– Ach, to pan, drogi panie? No, przecież pan wrócił! – przywitał mnie hrabia. – Spodziewam się, że już wszystko dobrze?

Był bardzo czuły w stosunku do mego przyjaciela. W rzeczy samej był on zawsze czuły ową czułością ludzi, których serca są z gruntu dobre. Lecz tym razem był w nim pewien wysiłek. Podejmowane z jego strony próby rozmowy o rzeczach potocznych kończyły się pogrążeniem w tępe zamyślenie. Przemknęło mi przez myśl że może to jest niedyspozycja. Lecz zanim zdążyłem zabrać się do badania, hrabia odezwał się cicho.

– Znajduje mnie pan w niewesołym humorze.

– Martwię się tym – odpowiedziałem. – Mam nadzieję, że pan nie otrzymał złych wiadomości?

Wyraził mi wdzięczność za to, że się nim interesuję. Nie. To nie to. Złych wiadomości nie było, Bogu dzięki. Nagle umilkł zupełnie i jak gdyby wstrzymał oddech. Potem, pochylając się cokolwiek naprzód, głosem nierównym, pełnym przerażonego zafrasowania zaczął mi się zwierzać:

– Mówiąc otwarcie, miałem bardzo... bardzo... jakby tu powiedzieć?... zdarzyła mi się ohydna awantura.

Energia tego epitetu była dostatecznie przejmująca w ustach człowieka o uczuciach umiarkowanych i bardzo stonowanym słowniku. Sądziłbym, że przymiotnik, „nieprzyjemna”, mógłby w zupełności wystarczyć dla określenia najgorszej przygody, jaka się mogła zdarzyć człowiekowi tego pokroju. A przy tym jelicze: „awantura”. Nie do uwierzenia! A jednak leży to już w naturze człowieka, że oczekujemy rzeczy najgorszych; i przyznaję, że ukradkiem wpatrywałem się w hrabiego pytając siebie, w jaki to sposób on się mógł skompromitować. Po chwili jednak moje podejrzenia rozchwiały się. W naturze tego człowieka wyczuwałem zasadniczą wytworność, która zmusiła mnie do

porzucenia wszelkiej myśli o jakiejś więcej lub mniej hańbiącej awanturze.

– Rzecz całkiem poważna. Całkiem poważna – ciągnął dalej nerwowo. – Jeżeli pan pozwoli, opowiem to panu po obiedzie.

Wyraziłem zgodę lekkim skinieniem głowy, nic więcej. Chciałem mu dać do zrozumienia, że nie mam zamiaru trzymać go za słowo, jeżeli – po namyśle – osądzi, że to zwierzenie jest niepotrzebne. Rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych, lecz z uczuciem pewnej trudności, zupełnie niepodobnej do naszego poprzedniego łatwego i dobrodusznego obcowania. Zauważyłem, że jego ręka, kiedy podnosił do ust kawałek chleba, lekko drżała. Ten objaw, zważywszy na moją znajomość człowieka, był dla mnie istotnie przejmujący.

W palarni hrabia nie ociagał się ani chwili. Natychmiast zajęliśmy zwykłe nasze miejsca. Hrabia oparł się bokiem na poręczy krzesła i z wielką powagą spojrzał mi prosto w oczy.

– Przypomina pan sobie – zaczął – ów dzień, kiedy pan wyjeżdżał? Powiedziałem panu wówczas, że chcą pójść do Villa Nazionale, aby wieczorem posłuchać trochę muzyki.

Owszem, przypominałem sobie. Piękna twarz starca, lak świeża dla jego wieku, nie napiętnowana żadnymi bolesnymi przejściami, wydała mi się na chwilę obłąkana. Jak gdyby cień przesunął się po niej. Odwracając się od uporczywego wzroku pociągnąłem łyk czarnej kawy. Hrabia opowiadał z systematyczną drobiazgowością; sądzę, że czynił to po prostu dlatego, żeby móc zapanować nad swoim zdenerwowaniem.

Po opuszczeniu stacji kolejowej hrabia wstąpił do kawiarni na lody i czytał tam gazety. Następnie wrócił do hotelu, włożył strój wieczorowy i zjadł obiad z wybornym apetytem. Po obiedzie spędził jakiś czas w hallu (były tam krzesła i stoły) paląc cygaro; rozmawiał z małą córeczką di

Primo Tenore z teatru San Carlo i zamienił kilka słów z „sympatyczną damą”, z żoną tegoż Primo Tenore. Owego wieczoru nie było przedstawienia i ci państwo również wybierali się do Villa. Po chwili wyszli z hotelu. Doskonale.

W momencie kiedy hrabia miał pójść za ich przykładem – było już wpół do dziesiątej – przypomniał sobie, że w portfelu ma dość znaczną sumę pieniędzy. Wszedł więc do biura hotelowego i większą część pieniędzy zdeponował tamże u kasjera. Po dokonaniu tego wziął *carozella* [wł. – „powozik”] i pojechał na wybrzeże. Wsiadł z pojazdu i wszedł do Villa pieszo od strony Largo di Vittoria.

Wpatrywał się we mnie ciężko, uporczywie. Zrozumiałem wtedy, jak bardzo był wrażliwy. Każdy najdrobniejszy fakt, każde zdarzenie z tamtego wieczoru tkwiło w jego pamięci, jak gdyby nacechowane mistycznym znaczeniem. Jeżeli nie wymienił mi maści konia, który ciągnął *carozella*, albo wyglądu człowieka, który powoził, to jedynie wskutek przeoczenia, wywołanego wzruszeniem, nad którym zresztą po męsku starał się zapanować.

Wszedł więc do Villa Nazionale od strony Largo di Vittoria. Villa Nazionale jest publicznym miejscem spacerów i zabaw; leży pomiędzy domami ulicy Riviera di Chiaja i wodami zatoki; są tam trawniki, krzewy i klomby kwiatów. Aleje drzew, więcej lub mniej równoległe, ciągną się przez całą długość placu, która jest znaczna. Od strony ulicy Riviera di Chiaja biegną tramwaje elektryczne tuż przy ogrodzeniu. Pomiedzy ogrodem a morzem znajduje się modna i elegancka jezdnia, szeroka, otoczona niskim wałem, za którym w czasie pięknej pogody Morze Śródziemne szemrze miło pluskiem swych fal.

Ponieważ w Neapolu życie rozpoczyna się późno w nocy, przeto cała szeroka jezdnia roiła się lśniąca masą sunących parami latarni pojazdów, to pełznących wolno, to szybko

mknących pod smukłą, nieruchomą linią lamp elektrycznych, znaczącą rysunek wybrzeża. Lśniaca mafia gwiazd wisiała nad ziemią rozkrzyczaną, zastawioną domami, połyskującą od świateł – i nad milczącym i gładkim mrokiem morza.

Sam ogród nie był silnie oświetlony. Nasz przyjaciel zapuszczał się w ciepłą jego ciemność, z oczyma utkwionymi w odległą, jasną strefę, rozciągającą się prawie poprzez całą szerokość Villa, jak gdyby samo powietrze żarzyło się tam własnym, chłodnym, błękitnawym i oślepiającym światłem. Cały ten magiczny obszar, poza ciemnymi pniami drzew i masą atramentowoczarnych liści, dyszał słodkimi dźwiękami, które mieszały się z wybuchami bezczelnej wrzawy, z nagłymi szczękami metalu i z poważnymi, głucho wibrującymi detonacjami.

Gdy hrabia tak szedł, wszystkie odgłosy zlewały się razem w oryginalny utwór muzyczny, którego harmonijne frazy przenikały wymownie skroś wielki nieskoordynowany szmer głosów i tupot nóg po żwirze otwartej przestrzeni. Niezmierna ciżba nurzała się w świetle elektrycznym, jak gdyby w kąpieli z lśniącego i subtelnego fluidu, zlewanego na jego głowy z świetlistych kul, i setkami krążyła wokół orkiestry. Całymi również setkami siedziała na krzesłach w więcej lub mniej koncentrycznych kołach, wchłaniając bezopornie olbrzymie fale dźwięków, rozpływające się w ciemnościach nocy. Hrabia dał się pochłonać tłumowi i unosił się nad nim ze spokojną rozkoszą, słuchając i przyglądając się twarzom. Wszystko ludzie z dobrego towarzystwa: matki z córkami, rodzice z dziećmi, młodzi ludzie z młodymi kobietami, wszyscy rozmawiający, śmiejący się, gestykulujący wzajemnie. Bardzo dużo pięknych twarzy i bardzo dużo pięknych toalet. Było tam, oczywiście, zbiorowisko różnych typów: wytworni starsi panowie z białymi wąsami, grubi panowie, ciency panowie, oficerowie w

uniformach; lecz zdaniem hrabiego, przeważał południowowłoski typ młodego człowieka o bezbarwnej jasnej cerze, czerwonych ustach, małych czarnych jak smoła wąsikach i wilgotnych czarnych oczach, tak przedziwnie wyrazistych w kosych spojrzeniach spode łba.

Wycofawszy się z tłumu, hrabia przysiadł się przed kawiarnią do stolika, przy którym siedział już młody człowiek takiego właśnie typu. Hrabia pił jakąś lemoniadę. Młody człowiek siedział markotny przed pustą szklanką. Spojrzał raz na hrabiego, a potem patrzył w dół. Jednocześnie nasunął na twarz kapelusz. Właśnie tak:

Hrabia zrobił gest człowieka nasuwającego kapelusz na czoło – i ciągnął dalej:

– Pomyślałem: musi być smutny; coś go tam boli; młodzi ludzie mają swoje zgrzyoty. Zresztą nie przyjrzałem mu się dokładnie. Zapłaciłem za lemoniadę i wyszedłem.

Spacerując w pobliżu orkiestry hrabia miał wrażenie, że dwukrotnie zauważył młodego człowieka błądzącego samotnie wśród tłumu. Raz oczy ich się spotkały. Musiał to być ten sam młody człowiek, lecz było ich tam tylu tegoż typu, że hrabia nie mógł być pewny. Ponadto nie interesował się tym tak bardzo, chyba tylko tyle, że uderzyła go wybitnie ponura markotność tej twarzy.

Niebawem, znużony uczuciem uwięzienia, jakiego doświadcza się zwykle w tłumie, hrabia oddalił się od orkiestry. Jedną z alei, bardzo mroczną wskutek kontrastu, wyglądała pociągająco i obiecywała samotność i chłód. Hrabia zboczył w nią i szedł wolno przed siebie, dopóki dźwięki orkiestry nie uległy znacznemu przytłumieniu. Wtedy wrócił i jeszcze raz poszedł tą samą aleją. W ten sposób przeszedł się kilka razy, zanim zauważył, że na jednej z ławek alei ktoś siedzi.

Ta właśnie przestrzeń znajdowała się na środku, pomiędzy dwiema lampami łukowymi, i oświetlona była słabo.

Nieznajomy rozwalił się w rogu siedzenia, wyciągnął nogi, skrzyżował ręce i zwiesił głowę na piersi. Nie poruszał się zupełnie, jak gdyby zapadł tam w sen; lecz kiedy hrabia następnym razem koło niego przechodził, zmienił pozę. Siedział pochylony naprzód. Łokcie miał oparte na kolanach, a w palcach skręcał papierosa. Zupełnie nie odrywał wzroku od tego zajęcia.

Hrabia kontynuował swój spacer oddalając się od orkiestry. Następnie wracał – jak mówił – powoli. Mogę go sobie wyobrazić rozkoszującego się w całej pełni, lecz spokojnie, jak zwykle, balsamicznością nocy południowej i dźwiękami muzyki, złagodzonymi rozkosznie przez odległość.

Niebawem hrabia po raz trzeci zbliżył się do człowieka siedzącego na ławce ogrodowej, wciąż pochylonego naprzód i z łokciami na kolanach. Była to poza pełna przygnębienia. W półmroku alei wysoki kołnierzyk nieznajomego i jego mankiety tworzyły małe plamy żywej białości. Hrabia mówił mi, że zauważył, jak nieznajomy nagle podniósł się, jak gdyby miał odejść, lecz prawie zanim hrabia mógł sobie zdać z tego sprawę, młody człowiek stanął przed nim i zapytał niskim łagodnym głosem, czy signore nie byłby łaskaw użyć mu ognia.

Hrabia odpowiedział na tę prośbę grzecznym: „proszę”, i opuścił ręce w zamiarze poszukania zapalek w kieszeniach spodni.

– Opuściłem ręce – mówił – lecz już nie zdążyłem sięgnąć do kieszeni. Uczułem ucisk tu – Końcem palca wskazał na miejsce tuż pod kością piersiową; ściśle jest to

miejsce ciała ludzkiego, w którym szlachetny Japończyk rozpoczyna operację harakiri, owej formy samobójstwa, która jest skutkiem ujmy wyrządzonej honorowi lub nieznośnego gwałtu zadanego świętości ludzkich uczuć. – Spojrzałem na dół – ciągnął hrabia głosem przejętym zgrozą – i cóżem ujrział? Nóż! Długi nóż...

– Nie chce pan chyba powiedzieć – zawołałem zdumiony – że był pan w ten sposób zatrzymany w Villa Nazionale o godzinie wpół do jedenastej, o jeden rzut kamieniem od tysięcznego tłumy!

Hrabia kiwnął głową kilka razy i wpatrzył się we mnie z całej mocy. Po czym odezwał się głosem uroczystym:

– Klarnet kończył właśnie swe solo i, zapewniam pana, że mogłem słyszeć każdą nutkę. Wtem orkiestra zagrzmiała fortissimo, a zbój wywrócił oczyma i zazgrzytał zębami sycząc na mnie z najdzikszą pasją: „Cicho być! Ani słowa, bo...”

Nie mogłem opanować zdziwienia.

– Jakież to był nóż? – zapytałem całkiem głupio.

– Długie ostrze. Stiletto – może nóż kuchenny. Długie, wąskie ostrze błyszczało. I jego oczy błyszczały. I zęby też. Mogłem je widzieć. Był strasznie rozwścieczony. Pomyślałem: „Jeżeli go uderzę, to mnie zabije.” Jakże mogłem z nim walczyć? On miał nóż, a ja nie miałem nic. Zbliżam się, wie pan, do siedemdziesiątki, a to był człowiek młody. Zdawało mi się nawet, że go poznaję. Markotny młody człowiek z kawiarni. Młody człowiek, którego spotkałem w tłumie. Ale na pewno nie wiedziałem. W tym kraju jest tylu podobnych do niego.

Rozpacz tamtej chwili była odzwierciedlona na twarzy hrabiego. Myślałem, że taka niespodzianka musiała go fizycznie sparaliżować. Myśli jego jednakowoż pozostały

w wysokim stopniu czynne. Rozbierały każdą możliwość alarmu. Pomysł wydania silnego krzyku o ratunek też przychodził mu do głowy. Lecz hrabia nie uczynił niczego w tym rodzaju, a powód, dla którego się powstrzymał, jest dla mnie dobrym świadectwem, że zachował zupełną przytomność umysłu. W jednym momencie zrozumiał, że nic nie mogłoby przeszkodzić napastnikowi również podnieść krzyk.

– Młody człowiek mógł w jednej chwili odrzucić nóż i udać, że ja jestem napastnikiem. Dlaczego nie? Mógłby powiedzieć, że go zaatakował. Dlaczego nie? Byłoby to jedno nieprawdopodobieństwo przeciwstawione drugiemu. Mógł powiedzieć cokolwiek – wytoczyć przeciwko mnie jakieś hańbiące oskarżenie – czy ja wiem co? Sądząc z ubrania, nie był zwykłym rozbójnikiem. Zdawał się należeć do lepszej sfery. Cóż ja mogłem powiedzieć? On był Włochem – ja jestem cudzoziemcem. Oczywiście mam paszport, a tutaj jest nasz konsul – lecz trzeba by się było dać zaaresztować, powlec po nocy do urzędu policyjnego jak zbrodniarz...

Wzdrygnął się. W jego charakterze lęk wobec skandalu znacznie był silniejszy niż obawa samej śmierci. I z pewnością – zważywszy pewne osobliwości neapolitańskich obyczajów – dla wielu ludzi cała rzecz musiałaby pozostać na zawsze diabelnie zagadkową historią. Hrabia nie był szaleńcem. Jego wiara w zacną spokojność życia otrzymała tak brutalny wstrząs, że teraz mógł już się spodziewać wszystkiego. Lecz ponadto przyszła mu do głowy myśl, że ten młody człowiek był może po prostu wariatem w ataku furii.

Była to pierwsza wzmianka o stosunku hrabiego do całej awantury. W swej przesadnej delikatności uczuć rozumiał, że niczyje poczucie własnej godności nie może być dotknięte przez to, co chory umysłowo człowiek może komuś zrobić. Stało się jednak rzeczą widoczną, że hrabia musiał się wyrzec

tej pocięchy. Przedstawił mi dokładnie, w jak ohydny sposób młody człowiek wywracał błyszczące oczy i zgrzytał białymi zębami. Orkiestra grała teraz z kolei utwór w tempie powolnym, z uroczystym rykiem wszystkich puzonów i artystycznie powtarzanymi uderzeniami wielkiego kotła.

– Lecz co pan zrobił? – zapytałem w najwyższym stopniu poruszony.

– Nic – odpowiedział hrabia. – Opuściłem ręce zupełnie spokojnie. Powiedziałem mu cicho, że nie mam zamiaru krzyczeć. Warknął jak pies, po czym rozkazał zwykłym głosem: „*Vostro portofolio.*”

– Wówczas ja, rzecz prosta... – ciągnął hrabia i od tego punktu jego opowiadanie stało się pantomimą. Trzymając mnie swym wzrokiem wykonał wszystkie ruchy potrzebne, aby sięgnąć do wewnętrznej kieszeni na piersiach, wyjąć portfel i oddać go. Ale młody człowiek, wciąż oparty silnie na nożu, nie chciał tknąć portfela.

Polecił hrabiemu wyjąć pieniądze, wziął je w lewą rękę i kazał mu schować portfel z powrotem do kieszeni; wszystko to dokonało się przy słodkim szmerze fletów i klarnetów, na tle wzruszającego brzęczenia obojów. A „młody człowiek”, jak go hrabia nazywał, powiedział: „Wydaje mi się, że to bardzo mało.”

– Istotnie, było tam tylko 340 czy 360 lirów – ciągnął hrabia. – Pieniądze zostawiłem w hotelu, jak panu wiadomo. Powiedziałem mu, że to jest wszystko, co mam przy sobie. Potrząsnął niecierpliwie głową i rzekł: „*Vostro orologio.*”

Hrabia gestami pokazał wyjmowanie i odpinanie zegarka. Lecz złożyło się tak, że drogocenny, złoty chronometr, który hrabia posiadał, był właśnie zostawiony u zegarmistrza do oczyszczenia. Tego wieczora hrabia miał przy sobie na skórzanym pasku pięćdziesięciofrankowy zegarek marki

Waterbury, który zwykł zabierać na ekspedycje rybołówcze. Zauważywszy gatunek łupu, przyzwoicie ubrany bandyta wydał krótki, ostry dźwięk potępienia w rodzaju: „Ts – Ah”, i porywczo odrzucił rzecz z powrotem. Po czym, kiedy hrabia chował pogardzony przedmiot do kieszeni, napastnik, z groźnie wzrastającym naciskiem noża na *epigastrium* [łac. – „nadbrzusze”], rozkazał napominająco: „*Vostri anelli.*”

– Jeden z pierścieni – ciągnął hrabia – dostałem przed laty od żony; drugi, sygnet, mam po ojcu. Powiedziałem bandycie: „Nie. Tego pan nie dostanie!”

Tutaj hrabia odtworzył gesty towarzyszące tej deklaracji składając ręce jak do

oklasku i przyciskając je tak złożone do piersi. Było coś wzruszającego w rezygnacji tych rąk. „Tego pan nie dostanie!” – powtórzył silnie i zamknął oczy, oczekując już tylko – nie wiem, czy mam prawo zanotować, że tak nieprzyjemne słowo wyszło z jego ust – otóż, oczekując już tylko na moment, w którym – doprawdy, waham się, czy powiedzieć – w którym poczuje się „wypatroszonym” za pomocą długiego ostrego sztyletu, wbitego morderczo w jego dołek sercowy – owo istotne siedlisko dręczących wrażeń u wszystkich istot ludzkich.

Wielkie fale harmonii napływały od strony orkiestry.

Nagle hrabia poczuł, że koszmarny ucisk opuścił czułe miejsce. Otworzył oczy. Był sam. Nie słyszał nic. Być może, iż młody człowiek już od pewnego czasu odszedł lekkimi krokami, lecz uczucie straszliwego ucisku pozostało jeszcze nawet po odjęciu noża. Hrabia uczył się bardzo osłabiony. Zaledwie zdołał, zataczając się, upaść na ławkę ogrodową. Miał takie wrażenie, jak gdyby przez długi czas wstrzymywał oddech. Siedział nieprzytomny, roztrzęsiony od gwałtownej reakcji.

Orkiestra z nieopisaną brawurą wykonywała skomplikowany finał. Straszliwy grzmot zakończył utwór. Hrabia słyszał to nierealnie, w oddaleniu, jak gdyby zaczynał tracić słuch. Potem rozległo się twarde klaskanie tysiąca mniej więcej par rąk, podobne do nawalnego gradu. Głęboka cisza, która nastąpiła zaraz, przywołała hrabiego do przytomności.

Tramwaj podobny do długiej szklanej skrzyni, w której siedzieli ludzie z silnie oświetlonymi głowami, przeleciał szybko w odległości sześćdziesięciu metrów od miejsca, w którym hrabia został obrabowany. Potem drugi tramwaj przeszumiał i jeszcze jeden odszedł w innym kierunku. Audytorium, zgromadzone wokół orkiestry, rozpraszało się; małe, rozmawiające grupy zaczęły wchodzić w aleję. Hrabia siedział wyprostowany i starał się spokojnie myśleć o tym, co mu się przytrafiło. O ile mogłem wymiarkować, hrabia czuł niesmak w stosunku do samego siebie. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie był zadowolony ze swego zachowania. Przeciwnie, jeżeli można zaufać pantomimicznemu odtworzeniu tego zachowania, to było ono po prostu bez zarzutu. Nie, to nie to. Hrabia nie był zawstydzony. Był wstrząśnięty tym, że stał się wybraną ofiarą nie tyle rabunku, ile zniewagi. Jego spokój został swawolnie sprofanowany. Całożyciowa, miła delikatność losu została pogwałcona.

Mimo to jednak, w owej chwili zanim jeszcze jego groza zdołała zapaść głęboko, hrabia zdołał doprowadzić siebie do stosunkowej równowagi. Gdy zdążył jakoś opanować wzruszenie, spostrzegł, że jest straszliwie głodny. Tak – głodny. Gwałtowna emocja uczyniła go po prostu żarłocznym. Porzucił ławkę i przechadzając się przez pewien czas znalazł się poza ogrodem, wobec stojącego tramwaju, nie bardzo wiedząc, jak się to stało. Wsiadł do tramwaju jak we śnie, wiedziony pewnego rodzaju instynktem. Szczęśliwie znalazł w kieszeniach spodni trochę miedziaków na kupno biletu.

Potem tramwaj zatrzymał się, a ponieważ wszyscy wysiadali, więc i on też wysiadł. Poznał, że jest na Piazza San Ferdinando, lecz najwidoczniej nie przyszło mu do głowy, żeby wziąć dorożkę i pojechać do hotelu. Pozostał strapiony na Piazza niby zbłąkany pies, rozmyślając mętnie o tym, w jaki by sposób można najprędzej dostać coś do zjedzenia.

Nagle przypomniała mu się jego dwudziestofrankówka. Wyjaśnił mi, że od blisko trzech lat miał tę sztukę francuskiego złota. Zwykł był nosić ją przy sobie jako pewien rodzaj rezerwy na wypadek nieprzewidzianego nieszczęścia. Nikt nie jest pewny, czy mu się nie dobiorą do kieszeni – rzecz zupełnie różna od bezczelnego i haniebnego rabunku.

Monumentalny łuk Galeria Umberto wyprowadził go ku szlachetnej kolumnadzie schodów. Nie tracąc czasu hrabia zaczął się wspinać na ich szczyt i skierował się do Cafe Umberto. Wszystkie stoliki zewnętrzne były zajęte przez tłum pijących ludzi. Ponieważ hrabia chciał coś zjeść, wszedł więc do środka kawiarni, podzielonej niby na nawy kwadratowymi filarami, które dokoła zdobiły podłużne zwierciadła. Hrabia usiadł na czerwonej pluszowej ławce przy jednym z tych filarów oczekując na zamówione risotto. Jego myśli wróciły znów do ohydnej awantury.

Myślał o markotnym, przyzwoicie ubranym młodym człowieku, z którym spotkał się oczyma w tłumie otaczającym estradę orkiestrą, a który, z całą pewnością, był rabusiem. Czyby go poznał? Niewątpliwie. Lecz hrabia nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z nim jeszcze kiedykolwiek. Najlepszą rzeczą byłoby zapomnieć o tym upokarzającym epizodzie.

Hrabia rozglądał się wokół niespokojnie, czekając na risotto, gdy wtem, cóż widzi? Z lewej strony przy ścianie siedzi młody człowiek. Był sam przy stole, na którym stała

butelka z jakimś winem czy sokiem i karafka wody z lodem. Gładkie oliwkowe policzki, czerwone usta, czarne jak smoła wąsiki, elegancko podkreślone do góry, subtelne czarne oczy, cokolwiek ocieźałe i ocienione długimi rzęsami, specjalny wyraz okrutnego niezadowolenia, który można obserwować jedynie na popiersiach niektórych cesarzy rzymskich – o, to był on, bez żadnej wątpliwości. Lecz przecież to był również typ. Hrabia rozejrzał się pośpiesznie. Ten młody oficer, czytający tam gazetę, był taki sam. Ten sam typ. Dwaj młodzi ludzie tam dalej, grający w warcaby, też są podobni...

Hrabia opuścił głowę. Serce zadrżało mu trwożnie na myśl, że wizja młodego człowieka będzie go już wiecześnie prześladować. Zaczął jeść risotto. Po chwili usłyszał, jak młody człowiek z lewej strony wołał kelnera rozdrażnianym głosem.

Na to wezwanie nie tylko jego kelner ruszył, lecz także dwóch wolnych kelnerów od zupełnie innego rzędu stołów porwało się ku niemu z usłużną żwawością, która bynajmniej nie stanowi ogólnej charakterystyki służby z Cafe Umberto. Młody człowiek coś zamruczał, a jeden z kelnerów pobiegł natychmiast do najbliższych drzwi i zawołał w kierunku Galerii: „Pasquale! O! Pasquale!”

Wszyscy wiedzą, kto jest Pasquale: obszarpany stary drab, który włóczy się pomiędzy stolikami i proponuje gościom w kawiarni cygara, papierosy, karty pocztowe z obrazkami, zapalki. Jest to z wielu względów bardzo pociągający łajdaczyna. Hrabia ujrzał siwowłosego, niegolonego drapichrusta, wchodzącego do kawiarni ze Skrzynką zwisającą mu u szyi na rzemiennym pasie; widział, jak tenże na jedno słowo lokaja z nagłym gestem poczłapał ku stolikowi młodego człowieka. Młody człowiek życzył sobie właśnie cygara, którym Pasquale służył mu z obleśnie

przymilną grzecznością. Stary przekupień już wychodził, gdy hrabia, wiedziony nagłym impulsem, skinął na niego.

Pasquale zbliżył się z uśmiechem, w którym ugrzeczniomy szacunek dziwacznie łączył się z cynicznie badawczym wyrazem oczu. Oparłszy skrzynkę na stole podniósł bez słowa szklane jej wieko. Hrabia wziął paczkę papierosów i zniewolony okrutną ciekawością zapytał, jak mógł najobojętniej:

– Powiedz mi, Pasquale, kto to jest ten młody *signore*, siedzący tam po drugiej stronie? Stary pochylił się poufnie nad swą skrzynką.

– Ten, signor Conte – zaczął układając skrzętnie swe towary, lecz nie patrząc na nie – ten, to jest młody *cavaliere* z bardzo dobrej rodziny z Bari. Studiuje tutaj na uniwersytecie i jest naczelnikiem *capo*, stowarzyszenia młodzieży, ślicznej młodzieży.

Zatrzymał się, po czym z dyskrecją, w której czuło się dumę wtajemniczonego, szepnął słówko wyjaśniające: – *Camorra* – i opuścił wieko skrzynki – prawdziwie potężna camorra – wyszeptał jeszcze ciszej. – Sami profesorowie wielce ją poważają... *una lira e cinquanti centesimi* [wł. – „jeden lir i pięćdziesiąt centymów”], signor Conte.

Nasz przyjaciel zapłacił złotą monetą. Podczas gdy Pasquale obliczał resztę, hrabia zauważył, że młody człowiek, o którym co dopiero tyle się dowiedział w niewielu słowach, skrycie obserwował całą scenę. Kiedy stary włóczykij odszedł kłaniając się, hrabia uregulował rachunek z kelnerem i pozostał jeszcze na swym miejscu. Mówił mi, że opanowało go zupełne zdrtwienie.

Młody człowiek zapłacił również, wstał i podszedł w stronę hrabiego rzekomo w tym celu, aby się przejrzeć w lustrze, umieszczonym w najbliższym od niego filarze. Ubrany był kompletnie czarno, krawat miał ciemnozielony,

wiązany. Hrabia obejrzał się i struchlał na widok niegodziwego błysku w kącikach oczu nieznanego. Młody cavaliere z Bari (jak mówił Pasquale; lecz Pasquale jest, oczywiście, patentowanym łgarzem) poprawiał krawat, zakładał kapelusz przed lustrem i jednocześnie mówił na tyle głośno, aby hrabia mógł go słyszeć. Mówił przez zęby z jadowitą wzdrgną i patrząc prosto w lustro:

– Ach! Więc miałeś jeszcze przy sobie złoto, ty... ty stary łgarzu... stary, ty birba... ty *furfante* [wł. – „łajdak”]. Ale my się jeszcze spotkamy!

Diabelskość w wyrazie jego twarzy znikła niby błyskawica i z kawiarni wychodził już krokiem leniwym, z twarzą markotną i apatyczną.

Biedny hrabia, opowiedziawszy mi ten ostatni epizod, opadł na krzesło, cały drżący. Na czoło wystąpił mu pot. W istocie tej napaści było tak wyuzdane zuchwalstwo, że i ja czułem przerażenie. Czym to było dla subtelnej natury hrabiego, nie chcę nawet myśleć. Jestem pewny, że gdyby hrabia nie był zbyt wykwinny na to, by móc popełnić rzecz tak krzycząco ordynarną jak śmierć w kawiarni wskutek ataku apoplektycznego, to ten fatalny cios mógłby go wówczas tam spotkać. Mówię bez ironii, że z całych sił starałem się ukryć przed nim, jak dalece się nad nim lituję. Hrabia wzdrygał się przed każdym zbyt wybujałym uczuciem, a moja litość była rzeczywiście bez granic. Nie było dla mnie niespodzianką, gdy dowiedziałem się, że hrabia przez tydzień leżał w łóżku. Potem zajął się przygotowaniami do opuszczenia raz na zawsze południowych Włoch.

A przecież ten człowiek był przekonany, że nie będzie mógł przeżyć całego roku w żadnym innym klimacie!

Ani jeden z moich argumentów nie odniósł skutku. Nie był to strach, jakkolwiek hrabia raz mi powiedział:

– Pan nie wie, co to jest camorra, kochany panie. Jestem człowiekiem napiętnowanym.

Nie lękał się tego, co może go spotkać. Jego subtelne poczucie własnej godności zostało splugawione przez poniżające doświadczenie. Nie mógł tego przenieść. Żaden arystokrata japoński, dotknięty w swym przesadnym pojęciu honoru, nie mógłby z większą rezygnacją zająć się przygotowaniami do harakiri. Wracać do siebie, znaczyło dla biednego hrabiego zupełnie tyle samo, co skończyć samobójstwem.

Patriotyzm neapolitańczyków stworzył przysłowie przeznaczone, jak się domyślam, dla oświecenia cudzoziemców: „Zobacz Neapol, a potem umrzyj.” *Vedi Napoli e poi mori*. W przysłowiu tym maluje się przesadna próżność, a każda przesada była wstrętna dla łagodnego umiarkowania biednego hrabiego. Wszelako, kiedym na niego patrzył na stacji kolejowej, myślałem, że jednak on z wyjątkową wiernością postępował w duchu dziwacznego przysłowia. *Vedi Napoli!*... On widział go! Napatrzył mu się z dokładnością przerażającą – a teraz odjeżdżał do grobu. Odjeżdżał do grobu pociągiem Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych, via Triest i Wiedeń. Kiedy cztery długie, ponure wozy ruszyły ze stacji, uchyliłem kapelusza z uroczystym uczuciem ze składam ostatnią daninę hołdu konduktowi pogrzebowemu Profil hrabiego, mocno już postarzały, odpływał ode mnie cicho, w kamiennym znieruchomieniu poza oświetloną taflą szklaną. – *Vedi Napoli e poi mori!*

Joseph Conrad
Il Conde

Redakcja: *Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-274-6, Festina 2014

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl